



ŚWINKA

MARCIN WOLSKI

Marcin Wolski

ŚWINKA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-58-4

Copyright © Marcin Wolski

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Tekst: Solaris, Olsztyn 2002

I wydanie: WL, Kraków 1982

Od autora

Radiowa „Świnka” powstała między styczniem a marcem 1976 roku, jako drugie po „Matriarchacie” mikrosluchowisko dla magazynu „60 minut na godzinę”. Nieco później przetworzyłem ją na mikropowieść. Już po wprowadzeniu stanu wojennego młody (wówczas) reżyser Krzysztof Magowski zaproponował jej sfilmowanie. Zabrało mu to parę lat i trochę złudzeń.

„Świnka” w zamyśle miała być historią czysto rozrywkową. Zrezygnowałem nawet z delikatnej aluzyjności, która istniała w „Matriarchacie”, to, co pozostało to najwyżej ozdobniki. „Ześwinienie docenta” nie jest żadną metaforą. Chociaż...

Wspominając tamte czasy, przypominam sobie, że po miodowych latach wczesnego Gierka w kraju zaczęła narastać niedobra atmosfera. Pojawiły się protesty związane z poprawkami do konstytucji, tworzyły się pierwociny opozycji. W Radiu też skończył się radosny okres „Sześćdziesiątki”. Na kierownika redakcji, którym wówczas byłem, poczęły mnożyć się naciski na usuwanie z programu treści i osób nieprawomyślnych. Właśnie w czasie pisania „Świnki” poddawany byłem wielkiej presji, celem eliminacji z Radia grupy kolegów po piórze z „Ilustrowanego Magazynu Autorów”: Markuszewskiego, Kofty, Stanisławskiego, Kreczmara, Janczarskiego. Nie mogłem zaakceptować tych metod, toteż zostałem zmuszony do rezygnacji ze stanowiska kierownika Redakcji Rozrywkowej III Programu Polskiego Radia.

Jednak jeśli jakiegokolwiek echo tych napięć znajdzie się w książce, to – słowo honoru – może być dziełem wyłącznie podświadomości. Fabułę „Świnki” tworzyłem podobnie jak dziewiętnastowieczni autorzy powieści odcinkowych, z tygodnia na tydzień, mając mglisty pomysł na zakończenie. Każdy odcinek musiał mieć zaskakującą puentę i haczyk, umożliwiającą nastąpienie Ulubionego Dalszego Ciągu.

Pytano mnie często, skąd wziął się pomysł? Trudno powiedzieć, może z ówczesnej fascynacji eksperymentami transplantacyjnymi doktora Barnarda, z przypadkowo obejrzanej fotografii w podręczniku hodowców nierogacizny, na której inseminator siedział okrakiem na maciorze – sens podpisu był mniej więcej taki: „pozycja sztucznego inseminatora nie ma znaczenia, ale świni zawsze jest przyjemniej”. Być może inspiracji dostarczyła też scena psa zeznającego w sądzie, zapamiętana z przygód Doktora Doolittle, którymi fascynowałem się w dzieciństwie.

Kiedy po latach czytałem tekst, bawiła mnie inna rzecz – kompletna nieznajomość realiów amerykańskich czy w ogóle zachodnich. Dopiero po napisaniu „Świnki” zacząłem wychylać nosa poza demoludy, a do Ameryki po raz pierwszy dotarłem w 1988 roku. Skąd miałem wiedzieć, że tytuł docent w ogóle tam nie istnieje. U nas zresztą też zniknął bodajże w 1990 roku. Z tym, że ci, którzy go już mieli, zachowali prawo jego używania. Na podstawie tego precedensu mój docent Holding pozostanie docentem.

A socjalistyczne realia tuczarni? To już był świadomy zamysł. W latach cenzury pośmiać się z naszych hasel i zakłęb można było jedynie umieszczając je w innej rzeczywistości, na przykład kapitalistycznej. Toteż w „Śwince” AD 2002 czytelnik znajdzie niewiele zmian w stosunku do pierwodruku z 1982. Co najwyżej poprawiłem stylistykę. Bardziej dogłębnym przeszczepów poniechałem. Choć skalpel śwędiął.

Rozdział 1

– Naprawdę musisz wyjechać? Nie możesz choć raz przełożyć tych badań na inny termin?
– w głosie młodej dziewczyny brzmi wyrzut.

– Nie mogę, zresztą nie chcę, Lucy. Zwłaszcza teraz, kiedy postanowiliśmy, że nasz ślub odbędzie się w czerwcu. Nie chciałabyś przecież, abym zamiast w podróż poślubną, wyruszył do centrum doświadczalnego.

– Ależ Will, przecież mogłabym pojechać z tobą! Byłoby cudownie.

– Ech, Lucy, ile razy mam ci powtarzać, że program jest ściśle tajny, a obiekt zamknięty. Prowadzimy doświadczenia o ogromnym znaczeniu dla ludzkości. W praktyce zaledwie parę osób zna istotę eksperymentów, a ich pełny obraz mamy tylko ja, no i oczywiście Frank i Hans. Czasami twoje podejście do mojej pracy doprowadza mnie do rozpacz.

Lucy westchnęła. Wiedziała, że za chwilę się rozstaną, a ona pozostanie w tym wynajętym mieszkaniu, zadając sobie po raz nie wiadomo które pytanie, jak to się stało, że ona, Lucy Crawford, ulubienica całego Holliday Spring, związała się właśnie z tym zabieganym, wiecznie niespokojnym naukowcem.

– O'Hara sam nie da rady? – spytała z resztką nadziei.

– Frank? – William Holding aż się zachnął. – To przecież kompletne beztalencie. Pozostawiony sam sobie nie odróżniłby naszego serum od jadu grzechotnika.

– Dlaczego w takim razie uczyniłeś tego zawistnego gada swoją prawą ręką? Gdyby mógł, ukąsiłby cię śmiertelnie. Jesteś niekonsekwentny, kochany docencie.

Naukowiec uśmiechnął się bagatelizująco:

– Razem pracowaliśmy tyle lat. Nie mogę też zapomnieć, że to właśnie Frank ściągnął mnie do Instytutu. Poza tym, nie sposób odmówić mu innych zalet. Jest elokwentny, robi dobre wrażenie na ludziach.

– Tak, znakomicie udziela wywiadów, w których podpisuje się pod twoimi wynalazkami, a ty to tolerujesz!

– No cóż, nie ukrywam, że mam pewną słabość do doktora O'Hary.

– Nierozsądnie, bo on cię nienawidzi, jestem pewna, że gdyby tylko mógł... On i ten wasz rzeźnik...

– Hans Weissenstein? Przesadzasz, kochanie. Widzę, że niepotrzebnie zapraszałem cię na salę zabiegową. Dla laika każdy chirurg wydaje się oprawcą. W istocie ten Gargantua o twarzy mordercy ma ręce zegarmistrza.

– Ale patrzy na ciebie jak na zaropiałą ślepą kiskę, którą chętnie wyciąłby jednym ruchem lancetu.

– Nikt nie kocha wymagającego szefa. Takie jest życie! – tu docent nerwowo spojrzał na zegarek. – Czas na mnie.

– Jak chcesz. Dopiero za godzinę wychodzę do klubu, więc gdybyś chciał... – wymownie spojrzała w stronę rozłożystej leżanki.

– Nie mogę. Muszę sprawdzić jeszcze cykl F-34, a rano jadę do Sektora G.

Ruszył ku drzwiom. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, zawrócił i porwał dziewczynę w ramiona.

– Jestem bardzo szczęśliwy. Kocham cię, Lucy! – zawołał.

I wyszedł.

Jest prawdą, że trzydziestodwuletni docent William Holding nie miał łatwego charakteru. Nastrojowiec, wiecznie za czymś goniący, zawsze niezadowolony z siebie i podwładnych, nie

cieszył się sympatią personelu. Owszem, każdy doceniał jego walory umysłowe, które sprawiły, że w ciągu pięciu lat z szeregowego pracownika stał się pierwszym mózgiem Instytutu Transplantacji. Co innego jednak doceniać, co innego lubić. Bo, jak mawiała doktor Salieri z zakładu genetyki: „Należy tylko dziękować Opatrzności, że docent Holding żyje w XX wieku, kiedy jego szaleńczy dynamizm może znajdować upust w programach naukowych. Żyjąc parę wieków wcześniej, zostałby zapewne budzącym grozę inkwizytorem czy despotycznym satrapą”.

– Za co ja go właściwie kocham? – często zastanawiała się Lucy. – Ani przystojny, ani specjalnie zadbany...

Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy młoda piosenkarka miała paskudny wypadek samochodowy. Pęknięcie wątroby czyniło sprawę beznadziejną. I wtedy do Kliniki Gwiazd, jak zwano Szpital w Holliday Spring, zgłosił się mało znany doktor z Instytutu Transplantacji. Cichy wielbiciel dowiedział się o wypadku z telewizji. Zaproponował przeszczep.

– Musiałby pan być cudotwórcą – powiedział ordynator. – Wątroba nie daje się jak dotąd przeszczepiać. Podczas wszystkich dotychczasowych znanych mi prób zawsze następował odrzut.

– Dysponuję serum antyodrzutowym – replikował Holding. – Przeszło ostatnio testy Federalnej Komisji Zdrowia.

I uratował ją. Dziewczyna po rekonwalescencji nie zapomniła o swym transplantatorze i zaprosiła go na koncert do Holliday Spring. „Powrót gwiazdy”, potem bankiet, wreszcie zaproszenie do hotelu. I już się nie rozstali. Przeżyli cudowne dwa tygodnie. Zakochany naukowiec, zapominając o bożym świecie, nie zapomnił naturalnie o swej pracy, ale zaledwie co godzinę łączył się ze swym laboratorium, telefonicznie wydawał dyspozycje i wysłuchiwał raportów. Te pół miesiąca romansu, a następnie dwa lata narzeczeństwa wystarczyły, by zgodnie uznali życie bez siebie za niepodobieństwo.

– Will to fajny gość – opowiadała Lucy swoim koleżankom. – Owszem, może za mądry, lecz czy ja muszę słuchać wszystkiego, co mówi? Wystarczy, że mnie kocha.

Charakterystyczne, owalne gmachy Instytutu Transplantacji wznosiły się nad Kanałem Zachodnim i terenami rekreacyjnymi campusu uniwersyteckiego. W skład zespołu, obok wysokich budynków szpitalnych i biurowca, wchodziło jeszcze kilkanaście niższych obiektów i rzeźba z rur, przedstawiająca, zdaniem krytyków sztuki, ewolucję od pierwotniaków do Naczelnych i z powrotem. Docent William Holding zaparkował swego morrisa na placu głównym i minawszy kwietnik w kształcie rombu wpisanego w elipsę, skręcił do niskiego pawilonu mieszczącego jego ukochane pracownie eksperymentalne. Na ustach czuł jeszcze ciepły smak szminki Lucy przypominający mu, nie wiadomo dlaczego, niedogotowany bób, który jadał w dzieciństwie na fermie stryja. Dawno to było, bardzo dawno. Przez moment przypomniał sobie łąki, po których krążył, obserwując gody dzikich bażantów i nie mniej dzikich wagarowiczów płci obojga. Wszystko wtedy było takie proste. Nawet marzenia. Chciał zostać wielkim zoologiem. Odkrywcą na miarę Cuviera czy Darwina.

Mijając Magazyn Dawców, jak pompatycznie nazywano przyinstytutową chlewnię, postyszał liczne kwiki zgromadzonej tam nierogaczyny.

– A coście takie niespokojne? – zawołał. – Pora spać, współpracowniczki! – i żartobliwie zachrząkał. Wiedział, że maciory bardzo lubią go za styl jego chrzäkania.

Stosunkowo niedawny pomysł uczynienia z nierogaczyny podstawowych dawców transplantowanych organów stworzył zupełnie nowe perspektywy przed chirurgią. Skończyła się sytuacja, w której chorzy tygodniami oczekiwali na zastępczą nerkę, śledzionę czy serce.

Handlarze organami zaopatrujący się gdzieś w Trzecim Świecie, wolał się nie zastanawiać gdzie, śrubowali ceny. Bywało, że ulubionym zajęciem pacjentów było studiowanie kroniki wypadków. Parę lat temu dwóch starszuchów pobiło się w trakcie dyskusji, komu bardziej należy się serduszek po świeżym samobójcy. Obecnie dzięki pocziwym świnkom takie wydarzenia były nie do pomyślenia. A serum Holdinga – preparat uzyskiwany z izotopowanej krwi ciężarnych kobiet, pozwalało transplantować praktycznie wszystko wszystkim. Bariera immunologiczna została przezwyciężona, a William z prawdziwą satysfakcją mógł kartkować prywatny album swych pacjentów. Oczywiście przeglądał go w samotności ze względu na tajemnicę lekarską. Znajdowało się tam zdjęcie z dedykacją wiceprezydenta (przeszczepione hormony goryla Bobby), podziękowanie od dowódcy wojsk lądowych (aktualnego posiadacza wątroby wieprzowej) czy błogosławieństwo arcybiskupa (dwunastnica od... a zresztą, dajmy spokój szczegółom!).

W pierwszych dniach tego roku zrealizowano najśmielsze z ludzkich marzeń: udany przeszczep mózgu!!! Psu kota, a kotu psa.

Jestem wielki – upajał się docent, widząc jak labrador Tobby poluje na myszy, a syjamski Pusio obszczekuje przechodniów i dostawia się do suki.

Podobnych zabiegów na ludziach jeszcze nie przeprowadzono, ale zdaniem Holdinga była to kwestia czasu, potrzebnego na pokonanie uprzedzeń i zneutralizowanie protestów ze strony kościołów. Co nie znaczy, że sam nie przeżywał moralnych dylematów.

„Czy możemy stwierdzić, że doszliśmy oto do progu nieśmiertelności? – zapisał owego wieczora w swym pamiętniku docent. – A może posunęliśmy się zbyt daleko? Przecież mogąc przeszczepiać ludzki mózg coraz młodszemu ciału, będziemy w stanie utrzymywać świadomość człowieka przez parę pokoleń. Czy mamy do tego prawo, czy nie stworzy to pola do nadużyć? Czy nie będzie wyzwaniem rzuconym samej naturze, Bogu?”

Holding nie należał do ludzi wierzących, ale swoje wahania mógł zanotować, używając wyłącznie wielkich słów i pojęć ostatecznych. Jego koncepcja świata, acz nie idealistyczna, zawierała pewne pierwiastki pozamaterialne – wierzył w sprawiedliwość, w istnienie jakiejś nadrzędnej moralności, która sprawia, że dobro prędzej czy później musi być nagrodzone, a zło ukarane. Czyż on sam nie był najlepszym przykładem tej tezy? Jego wytrwała praca zaowocowała sukcesem, sławą, pieniędzmi, luksusową żoną.

„Im większe odkrycie, tym większa odpowiedzialność odkrywców” – tak uspokajając sumienie, zakończył tę notatkę.

Od tego czasu minęły trzy miesiące. Dokonano dalszych zabiegów, a kolejne eksperymenty w Sektorze G mogły przynieść nowe osiągnięcia.

Drzwi do swej pracowni zastał uchylone.

Dziwne. O tej porze nie powinno tu być nikogo, a jednak w gabinecie paliło się światło. Wszedł.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI